Cena 18 fen. — 13 cent.



ŚWIATŁO

Rok X. Bytom G.-Szl., 1-go Marca 1896. **Nr. 5.**

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste **t** 99) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Gabryel Hołubek,

SŁAWNY GÓRNIK I BOHATER POLSKI.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XVI WIEKU PRZEZ STA.

(Ciąg dalszy.)

Na drugi dzień po przybyciu tych drogich, upragnionych gości, gdy państwo po wczesnym obiedzie pojechali do lasu obejrzeć świeżo założone zagajenie, zasiadł Semen z panną Agnieszką w cieniu jabłoni, aby dokończyć swego opowiadania, bo właśnie poprzedniego dnia stanął na Byczynie, na żałosnym końcu Hołubka.

— Byłeś waść przy jego śmierci? — pytała stara panna, gdy zasiedli na ławie.

— Przy samej śmierci nie byłem, bom przyszedł już po wszystkiem; ale słyszałem, co sobie szeptano, ba! nawet głośno opowiadano po całym obozie, że umierając ten niezwykły młodzieniec prorokował. Przepowiadać miał, że straszne ruiny przyjdą na Rzeczpospolitą, a to dla ciężkich grzechów naszych, mianowicie dla braku zgody i miłości pomiędzy różnymi domami, czy zgoła stanami. Wszelako w końcu dodał pono, że byleśmy jedność a miłość obserwowali, to wszystko złe minie i jasne słońce nad krajem naszym zaświeci.

— Niechże tak Bóg sprawi, za przyczyną Najśw. Panienki i Świętych Patronów naszych! — westchnęła pobożnie panna Agnieszka, składając ręce.

— Amen! — rzekł uroczyście Semen i przeżegnał się, a potem zaraz mówił dalej:

— Gdym się tedy dowiedział, że oczy zawarł, ten wielki bohater, tak na nic nie zważając wpadłem do komnaty, gdzie skonał. Tam zaś już wszyscy płakali i cerali tę niebogą panią rotmistrzową, co bardziej była podobną do umarłej, niż brat niebożczyk. On siedział sobie w krześle i choć oczy miał przymknięte, przecie twarz tak mu się wdzięcznie śmiała, jakby z Aniołami rozmawiał. Ciężko jeno było patrzeć na boleść osieroconej siostry: co ją otrzeźwili, to się czepiała brata, a odejść ani rusz. Wreszcie doktór kazał ją tak ostawić; więc klękła przy zmarłym i tak go pilnowała, nie śpiąc, nie jedząc, nic nie mówiąc; nie uroniła też jednej łzy, oczy miała jakoś dziko świecące i nie

odwracała ich od niebożczyka. Strach co się działo, gdy go przyszło w trumnę kłaść; jak pierw ciała, tak teraz trumny, a potem od grobu nie chciała odejść; wzięto ją niebogę gwałtem i bezprzytomną uwieziono do Wisłocka.

— Pogrzeb miał nasz wódz tak foremny — prawił Semen dalej, odsapnąwszy — jak jeszcze nie widziałem i waćpanna póki życia nie widziałaś i pewno też widzieć nie będziesz nic podobnego. Górnicy i ochotnicy, którzy się pod nim bili, nieśli zwłoki na ramionach, płacząc po drodze rzewnie; chociaż wszyscy byli to srogie zuchy, o jakich waćpanna nie słyszałaś jeszcze. Całe wojsko, jak stało pod Byczyną, szło przed trumną, za trumną zaś wszyscy wodzowie, wielki hetman i co bliscy zmarłego. Nad grobem mowę śliczną powiedział nasz kapelan, a tak wszystkie serca poruszył, że płakaliśmy jak bobry; najstarsi rycerze w głos ryczeli, nawet hetman (zacny pan) łzy obfite ronił. A jak potem urżły wszystkie kotły i trąby, zawarczały bębny, zagrały litaury i wszystkie instrumenta, jak wzięto walić z armat i z muszkietów grzmieć, tak ziemia się trzęsła, w powietrzu huczało, a waćpanna przysięgłabyś, że to sroga bitwa się zawiązała. Nam wszystkim zaś jeno tak serca pukały, bo to każdyby rad był w miejscu niebożczyka, byle mu taki pogrzeb sprawiono.

— Aj, co waść prawisz? Ktoby też to zaś niebożczykiem chciał być? — zawołała z niedowierzaniem panna Agnieszka. — Pewnie, że to pięknie było, aleć pogrzeb pogrzebem i już tam temu, co go grzebią, nic po wszelkiej paradzie!

— Tego waćpanna nie mów! Żołnierzowi i nie żal życie dać, gdy sobie wspomni, iż przelewając krew za ziemską Ojczyznę, niebieską sobie kupuje, a zaś ciału jego zacny pogrzeb sprawią.

— Hm!... Może być, może!... — pokiwała głową staruszka.

— Nie może, mościa panno, jeno tak jest! Aleć waćpannie, jako białogłowie trudniej to wyrozumieć jak nam rycerzom! — mówił Semen pokręcając z dumą pięknego swego wąsa; w duszy zaś cieszył się, że go Pan Bóg nie stworzył białogłową, bo ten dzielny rycerz uważał zawsze niewiasty za niższe od mężczyzn istoty. Po chwili odchrząknął i ozwał się znowu:

— Takeśmy tedy po onym pięknym pogrzebie do Wisłocka wrócili i panią rotmistrzową nieprzytomną przywieźli. Jak zmysły odzyskała, tak zaraz jęła się zrywać do Olkusza, do domu brata, żeby się przekonać czy ona na prawdę miała brata i czy go to już nie ma, bo mówi:

— To może ja jeno śniłam, że miałam brata? Ach! takiego brata, jakiego drugiego na świecie nie ma! Było mu imię Gabryel!... Powiedźcie mi, żali to prawda, że taki zacny człowiek mógł chodzić po tym nędznym świecie! A jeźli był, to czemu poszedł, czemu mnie tu zostawił?

— Zaczęliśmy się obawiać o rozum nieszczęśliwej; biedny pan Adam chodził blady jak śmierć, ręce łamał i gdy nikt nie widział, płakał po kątach. Trzeba też wiedzieć waćpannie, że panna Bożena i stary pan, rodzic rotmistrza, bardzo sobie pięknie wtedy poczynali, troszcząc się i starając o rozbolałą niebogę, jakby właśnie o rodzoną. Więc kiedy tak gwałtem chce do Olkusza jechać i każe konie do kolasy zakładać, tak postanowiliśmy ją tam zawieść; bośmy sobie tak mówili, że przecie przebierze się w końcu tej boleści, a może widok miejsca, gdzie z bratem żyła, łzy jej wyciśnie, szczególniej, iż dotąd jednej łezki nie uroniła. Pojechaliśmy tedy z nią: pan rotmistrz, panna Bożena i ja. Pojechaliśmy bośmy mówili: »będzie, będzie! «Ano, miła panno Agnieszko, to jeno dziś powiem, że drugi raz w życiu nie chcę już widzieć, co tam wtedy widziały oczy moje. Co to ludzkie serce wytrzyma, co zniesie, co przecierpi i nie pęknie! nie! I żyje dalej i cierpi dalej! Snać z mocnego materyału uczynił je Bóg, nie z prostej gliny, nie! Jak przestąpiła próg braterskiego domu, ta nasza niebога, tak

z krzykiem rzuciła się na ziemię; potem tuliła do siebie i całowała każdą rzecz, której się niebożczyk za życia dotykał; to znowu chodząc po izbach, wołała:

— Bracie! bracie! gdzieś ty?!... To jeno mi się śniło, iżeś ty umarł... Ozwij się Gabryelu! Twojej słodkiej siostrzyczce się ozwij!... Takeś mię przecie nazywał... To ja, twoja siostra Ludka cię wołam!...

— Serca nam zamierały ze strachu i żalu; a zrobiło nam się jeszcze okropniej, gdy panna Bożena poszepnęła, że pani rotmistrzowa od śmierci brata wcale się nie modli; że kilka razy klękała do modlitwy, ale jeszcze się nie przeżegnała, już chwytała się za głowę i z przeraźliwym krzykiem zrywała się z ziemi. Zarażeśmy tedy zmiarkowali, że zły duch korzystając z boleści słabego serca ciągnie je do przepaści.

— Tu niema innej rady — rzekła panienka — jeno trzeba wołać o ratunek do Boga i Najśw. Dziewicy; Matka Boża to sprawi swoją przyczyną, że pokusa precz pójdzie.

— Uznaliśmy, że panna Bożena słusznie mówi, więc zaraz nazajutrz zakupiliśmy mszę św. do Przemienienia Pańskiego, i nie chwaląc się, całą św. Ofiarę krzyżem leżeliśmy, płacząc i żebrząc zmiłowania. I jako to Ojciec niebieski nie zostawi nigdy ufających na pastwę rozpaczy, tak też wejrzał Pan Jezus i Matuchna Jego Najśw. na nasze łzy. Wróciwszy do domu, zaczęliśmy też zaraz nowennę do Przemienienia Pańskiego; aż na drugi dzień, nie wiem już komu przyszła myśl, bodaj czy nie razem mnie i panu rotmistrzowi, aby wezwać O. Teofila, który, jak to i waćpannie wiadomo, okrutny miał wpływ na naszą niebożczkę panię i na pannę Ludmiłę. Pan Adam napisał zaraz list i pchnął na rozstawionych koniach gońca do Krakowa, gdzie szczęśliwym trafem O. Teofil przebywał, a o czem wiedzieliśmy. Wiesz, waćpanna, co to za uczony i świątobliwy kapłan, a i serce u niego jak szczere złoto. Skoro otrzymał list, znowu rozstawionymi końmi, przybiegł w te pędy do Wisłocka, gdzieśmy też panią Adamową poniewoli przywieźli.

— Jezu miłosierny, co się też to z tem niebożątkiem działo! — westchnęła stara panna. — Bóg łaskaw, że to przemienił!

— Ano tak, źleby to było z nami, żebyśmy nie mieli Ojca w niebie... Wszelako przy Jego pomocy zawsze się człowiek z niedoli wygrzebie, tak i nam Bóg dopomógł. Jak ta nasza biedna pani ujrzała O. Teofila, tak z krzykiem do nóg mu runęła i jęczała, aż przykro było słuchać. Kapłan Boży jednak nic nie mówiąc, podniósł ją z ziemi i w milczeniu powiódł prosto do kaplicy. Co tam powiedział nieszczęśliwej, to na zawsze pono zostanie tajemnicą, dość, że gdy po dwóch godzinach wyszła z przybytku Bożego, to była cała spłakana, a marmur przed ołtarzem, gdzie krzyżem leżała, cały był od łez mokry. Zaraz też ulga przyszła na serce i na duszę. Zacny kapłan tydzień bawił w Wisłocku, po całych niemal dniach rozmawiał z panią Ludmiłą, i modlił się z nią w kaplicy. Na końcu tygodnia przystąpiła dwa razy do Spowiedzi św., a wreszcie i komunię św. przyjęła. Stała się też teraz podobną do siebie; twarz miała spokojną, w oczach już się nie palił ten dziki ogień, jeno przyświecała przez nie dusza uzdrowiona pokornem poddaniem się woli Bożej. Cały dzień po komunii św. przepędziła w kaplicy, a wieczorem udała się wcześnie na spoczynek, bo okrutnie była zmarnowana bezsennością. Aż tu na drugi dzień rano, gruchnęło po całym dworcu: »Niebożczyk pułkownik pokazał się siostrze w nocy!« Nie chciałem ja w to zrazu wierzyć, ale gdym się spotkał z panią Adamową i spojrzał na nią, przestałem wątpić, była to teraz znowu ta sama co dawniej, przed śmiercią brata, osoba: rozradowana, wesoła, uśmiechnięta i miluchna, jak ten dzionek majowy. Ażem stanął zdumiony, a ona przechodząc koło mnie, ścisnęła mię mocno za rękę i szepnęła z radością:

— Widziałam go! Widziałam! Już

mi się teraz nie godzi płakać i... nie będę!...

— Jezus! Marya! Co też to waść opowiadasz takie straszne rzeczy! — zakrzykła panna Agnieszka i z ławy się zerwała. — Żeby się zaś nieboszczyk miał Ludce pokazać, a ona nie umarła ze strachu?

— Nietylko nie umarła, jak waćpanna widzisz, ale od tego dnia pozostała taką, jaką ją uczyniły nauki O. Teofila, skrucha i łaska Boża: stała się znowu sobą, modliła, pracowała, czyniła dobrze drugim i żyła jak Pan Bóg przykazał; wprawdzie westchnęła sobie czasem cicho i znacznie spoważniała, ale też przecie, jako matronie, tak właśnie przystoi.

Panna Agnieszka okrutnie kręciła głową, ale że ją ciekawość paliła, więc długo wypytywała o ono widzenie czy ducha; lecz Semen nadto, co już opowiedział, nie umiał dodać nic więcej, staruszka jednak nie dała za wygraną. Postanowiła koniecznie dowiedzieć się dokumentnie, jak i co było, a mianowicie, co też niebożczyk opowiadał o drugim świecie; bo to przecie zawsze rzecz niezmiernie ciekawa, jak też tam po za grobem wygląda.

Stary Semen prawił jeszcze dużo o różnych rzeczach swej towarzyszce, zwłaszcza zaś o odbytej pod dowództwem Hołubka wojnie, jakto dojeżdżano nieprzyjaciela, jak mu za skórę sadła zalewano, ale stara panna słuchała teraz już tylko jednem uchem, a drugie wyciągała w stronę zamku, czy się nie ozwie turkot pojazdów. I doczekała się przecie; państwo wrócili z lasu, tak ona zaraz rzekła do Semena:

— No, mości Semenie! Miło mi tu bardzo słuchać waści, lecz chodźmy już do dworu; wieczór blisko, a na stare kości rosa nie plarzy.

Poszli tedy, a panna Agnieszka jęła zaraz polować na panią Adamową. Kochała ona ją, jak córkę rodzoną i śmiałą była do niej, jak do córki; jednakże nie widziało jej się, tak obces wpadać na owego ducha; więc jeno krążyła około Ludmiły, aby upatrzyć wolną chwilę i wyciągnąć ją na gawędkę. Lecz pani rotmistrzowa jako gospodyni domu krzątała się a krzątała po całym dworze; potem była kolacya, po kolacyi znowu poszli państwo do ogrodu chłodu zażyć.

Od czego jednak staruszka była kobietą, aby się miała wyrzec ciekawości, lub aby jej cierpliwości miało braknąć? Poszła do sypialnej komnaty Ludmiły i czekała. Około jedenastej drzwi się otwarły i oczekiwana weszła do pokoju, a ujrzawszy starą pannę, zawołała z serdeczną troskliwością:

— Ach! kochana panno Agnieszko! Kto to widział tak długo wysiadywać po nocy? Mianowicie też po tak długiej, uciążliwej podróży; jeszcze mi waćpanna zaniemożesz na samo wesele!

— Ej, nic mi nie będzie! Ale bo to widzisz, mój skarbie, ja cię ledwo widziałam dotąd... A radabym nietylko cię widzieć, ale też i pogawędzić... Tyle czas nie widziałam panienki... chciałam powiedzieć... jejmości, a człowiek przecie ma serce... choć to niby stare...

— Moja najpoczciwsza! — przerwała Ludka, ściskając starą sługę.

— Znam ja, znam serce waćpanny, niechże ci za nie Bóg płaci!... Jaćbym też rada o niejednem pomówić, jeno że to teraz przed weselem nie wiedzieć zkąd czas brać! Ale niechno sprawimy Bożence gody, to już sobie potem one cztery latka powetujemy...

— Oj, ciężkie one były, jak słyszę, dla ciebie, moja królowo!... Ale też pono pocieszył cię Pan Jezus cudownem widzeniem?

Ludka spojrzała bystro na pannę Agnieszkę, a widząc z jaką ta ciekawością w nią się wpatruje, zaraz się domyśliła o co chodzi, więc zawołała z uśmiechem:

— No, no, już ja widzę, jak pan Semen choć to jego język niebiałogłowski, nie mógł go pohamować... a musisz waćpanna wiedzieć, że zacny staruszek uważa babski język za najgorszą rzecz na świecie. A oto widzę, że ten jego wstrzemięźliwy język wyga-

dał się przed panną Agnieszką, o tym moim dziwnym śnie...

— O śnie?!... — zawołała stara panna, przeciągłym głosem, a na jej pomarszczonej twarzy odmalował się przykry zawód. — To ci się jeno coś

sadziła ją na miękkiem siedzeniu i sama siadając przy niej, rzekła wesoło:

— O, o! ten niedobry Semen! Jak on to mógł waćpannę tak zaciekawić? To się doprawdy nie godzi! Wszelako — dodała zaraz poważnie i z rozrzew-



W PRZEDSIONKU SĄDU. (Obacz objaśnienia rycin na str. 80).

śniło?! I ducha nie widziałaś?! I nic nie wiesz, jak tam na drugim świecie? Nic-że ci brat, choć we śnie, nie powiedział ciekawego? A tak cię przecie pono kochał?...

Ludmiła nie mogła się wstrzymać od śmiechu; objęła w pół staruszkę, po-

nieniem w głosie — choć to nie było widzenie na jawie, jeno sen, to przecież tak piękny, tak cudowny i pouczający, że go sobie poczytuję za łaskę Bożą, zesłaną ku mej skrusze, nauce i poprawie.

— I cóż ci się to śniło, tak cudownego, moja królowo?

— Słuchaj-no waćpanna. Co się działo ze mną po śmierci mego brata, to już pewnie Semen pannie Agnieszce obszernie opowiedział; a lepiej on to uczynił, niżbym ja potrafiła, bom wtedy jeno na pół o świecie wiedziała. To jednak powiem, że czułam niewysłowioną boleść w sercu, gorycz, żal, rozpacz i jakby jakiś głuchy gniew. Był to bunt niepohamowanej duszy przeciw wyrokowi bożemu, przez który traciłam ukochanego nadewszystko brata; traciłam go zaś w tej właśnie chwili, kiedy sądziłam się najszczęśliwszą, bo nam rodzic Adama przebaczył, i z panem Markiem nastąpiło porozumienie i zgoda, a brat mój najmilszy miał się wznieść do najwyższych godności; sam wielki hetman mu to przepowiadał. Znasz mnie waćpanna od kolebki, to wiesz najlepiej jak zawsze gwałtowną miałam naturę...

— Prawda! prawda! Maleństwo jeszcze byłaś mój skarbie, a już czupurne, niby młody jastrzębek... A dziw brał, że w takiej odrobinie tyle hardości siedzi!

— To też jakem czego pragnęła, to już ze wszystkich sił, jak kochałam to też z całej duszy; tak więc było i tu. Rozłączenie z mężem zniosłam dość spokojnie i z poddaniem się woli Bożej, bo najpierw czułam się winną i zasłużyłam na to, a więcej pono jeszcze dla tego, że mi jasno świeciła nadzieja, iż to utrapienie prędko minie, bo ojciec przebaczy. To mi się też precz zdawało, jakobym była mężną i cnotliwą niewiastą, że tak odważnie znoszę ciężki dopust Boży. Aż oto teraz pokazał mi Pan Bóg, jak grzeszne i słabe jestem stworzenie. Brata traciłam na zawsze, zgasła nadzieja, więc się pogrążyłam w przepaść rozpaczy, serce ludzkie bez nadziei żyć nie może, ale nadzieją, która nigdy nie zawodzi człowieka jest Bóg, a ja o tej nadziei nie myślałam. Łaska Boża była przecie ze mną, bo Adam natchniony z nieba, posłał po O. Teofila. Nie potrafiłabym waćpannie powtórzyć wszystkiego, co mi ten świątobliwy kapłan mówił; ale słowa jego otworzyły mi oczy na ten grzeszny bunt mego serca, skruszyły mi duszę, łaska Boża mnie wsparła, pogodziłam się z wolą Bożą, a w duszy powstała słodka nadzieja, że ukochanego brata nie straciłam na zawsze, bo go w lepszem życiu obaczę. Po przystąpieniu do Sakramentów św. spokój zupełny zapanował w całej mej istocie; doznawałem jeszcze nieco smutku, ale już nie tego palącego, co to duszę przegryza i śmierć jej zadaje, jeno jakoby łagodnej i słodkiej tęsknoty. W dzień ten szczęśliwy, pierwszy raz po śmierci Gabryela, położywszy się na spoczynek, zasnęłam spokojnie i głęboko jak dziecko. Nie wiem, jak długo spałam, aż naraz ujrzałam się na naszem Podolu, wśród uszyckich jarów; ale zakątek, w jakim teraz się znalazłam, był tak prześliczny, żem się bardzo dziwiła i żałowała, iż go to nigdy dawniej nie widziałam. Wśród skał, porosłych ślicznym, zielonym i srebrzystym mchem, rozciągała się niewielka dolina, wyłożona jakby aksamitnym kobiercem, bujnym trawnikiem majowym; z pobliskiej skały wytryskał zdrój kryształowej wody i przejrzystą strugą przerzynał dolinę; białe lilie rosły nad brzegiem, przeglądając się w zwierciadle wody, a różne inne jakieś cudnej woni i barwy kwiaty, wychylały kielichy z zielonego kobierca traw, po całej zaś dolinie stały rozrzucone białe brzozy. Na gałęziach ich trzepały się całe gromady ptaków i nuciły nieznane mi, ale tak prześliczne melodye, jak jeszcze w życiu niesłyszałam; łagodny i ciepły wietrzyk szeleścił listkami, a ile razy nimi poruszył, promienie słońca siały na dolinę jakby deszcz złoty. Trudno mi opowiedzieć waćpannie słowami, co to za przecudne było miejsce; to też stałam jak wryta, z podziwu i zachwytu, i mówiłam do siebie:

— Boże mój, gdzież ja też tu zaszłam?! Tyle lat mieszkałam tu w tej okolicy i nie wiedziałam nic o tym prześlicznym zakątku! Już chyba w raju piękniej nie było!

— Kiedy się tak dziwuję i cieszę, wietrzyk powiał silniej, gałęzie brzóz się

rozchyliły i szeroka smuga słonecznego światła padła na całą dolinę, aż ku mnie. Pas ten świetlany drgał, poruszał się i taki blask szedł od niego, że oczy musiałam zmrużyć; a gdy je znowu zaraz otworzyłam, spojrzę, a tu mój brat ukochany stoi przede mną! Ale jaki nieziemsko piękny! Niby to ten sam, co dawniej, niby to te same rysy, a jednak on zmieniony, jak całkiem inny! Dorodnym młodzieńcem był Gabryel za życia, teraz przecie taka światłość biła od jego twarzy, że oczy ją ledwo zniosły. Obleczony był w złoty pancerz i szyszak, jaśniejący miecz zwieszał mu się przy boku; cała zaś odzież to raz mi się wydała białą, to znowu mieniła się wszystkiemi barwami tęczy. Z okrzykiem radości wyciągnęłam ręce do tego mego najmilszego brata, a on mnie przytulił do siebie; wszelako nie czułam wcale jego uścisku, jeno jakaś błogość rozlała mi się w sercu.

— Więc tyś jednak nie umarł! — wołałam z uniesieniem. — Ty żyjesz! mój bracie najmilszy! A śmierć twoja, to jeno ułuda była!

— Tak jest, jeno złudzenie! Ja żyję teraz prawdziwie życiem wiecznem, nieśmiertelnem, nieprzeżytem — odparł Gabryel głosem tak wdzięcznym, jakby kto najcudniej grał na fletni. — Teraz jestem już w prawdziwej Ojczyźnie, u Ojca niebieskiego! O, moja biedna siostrzyczko! w jak strasznem miejscu wy żyjecie tu na tym doczesnym świecie! — i spojrzał na mnie z głębokiem politowaniem.

— Ta wasza ziemia — mówił dalej — to jak loch ponury bez słońca, bez kwiatów, bez woni, a dom Ojca niebieskiego, przyobiecany cnotliwym, to ogród niewysłowionej piękności, w którym się szczęściem oddycha, rozkoszą żyje! Gdybyś ty mogła pojąć, siostro moja, jak ja jestem szczęśliwy, tedybyś zamiast się smucić i narzekać, gorąco dziękowała Bogu, że mi tak wcześnie pozwolił opuścić to straszne, ziemskie więzienie.

(Dokończenie nastąpi).

PRZY KOMINKU.

Hej panienko moja, owo
W sercu pokój, w głowie statek,
Przeżyło się razem zdrowo
Trzy dziesiątki z górą latek;
Byłem tobie wiernym służką,
Wszakże prawda, Basiu, cóż?...
Dołóż drzewa, moja duszko,
Bo w kominku gaśnie już.

Miły Boże! gdy człek wspomni:
Moja Basia jak królewna,
A i ludzie z tego drewna
Co ja, wcale nie ułomni;
Jam ci słówka szeptał w uszko,
Aż na licach płonął róż...
Dołóż drzewa, moja duszko,
Bo w kominku gaśnie już.

Miał pan Maciej dziewięć córek,
Na jednego huk zaiste;
Ale co tam — Jezu Chryste!
Pokochałem cię jak Turek.
Obrączkowych pod poduszką
Było tysiąc, niezły kusz!...
Dołóż drzewa, moja duszko,
Bo w kominku gaśnie już.

Życia troski, życia znoje,
To co cieszy, to co boli,
Chwile doli i niedoli
Łacniej idą, gdy we dwoje;
A tyś była wierną drużką
Wśród pogody chwil i burz...
Dołóż drzewa, moja duszko,
Bo w kominku gaśnie już.

Oj, Basieczko, panno miła,
Myśmy dzielną byli parą!
Tyś mi życie ukwieciła
Uczciwością, cześcią, wiarą;
Zacnie biło twe serduszko,
Szukać takich wszerz i wzdłuż...
Dołóż drzewa, moja duszko,
Bo w kominku gaśnie już.

Ot i przeszło, jakby chwila...
Toć to nasze, a nie czyje;
Szczęścia w życiu tylko tyla,
Co w spokoju człek przeżyje.
A no, teraz czas już w łóżko,
Boć i twardsze łoże tuż..
Spać pójdziemy, moja duszko,
Niech w kominku zgaśnie już.



DUMANIA WYGNAŃCA. (Obacz objaśnienia rycin na str. 80).

SĄDOWNICTWO W CHINACH.

Kto widział kiedykolwiek więzienia w Chinach lub był obecny na posiedzeniu sądowem, ten zrozumie, dla czego Chińczyk rzadko kiedy szuka sprawiedliwości u mandaryna (wysokiego dostojnika chińskiego). Chiny należą bowiem do tych krajów, gdzie tak zwana »łapówka« idzie przed prawem. Kto lepiej potrafi przekupić mandaryna, ten liczyć może na to, że go uwolnią od wszelkiej winy i kary, choćby przestępstwo jego było jak najwidoczniejsze. Chiny mają swe prawodawstwo już od tysięcy lat i to prawodawstwo do dziś jeszcze obowiązuje. Porobiono tylko bardzo nieznaczne zmiany. Mimo to jest ono bardzo zwięzłem, jasnem, praktycznem i lepszem nawet od prawodawstwa niejednego kraju europejskiego, które się chlubi zdobyczami nowoczesnemi. Cesarz chiński wyraził się o znaczeniu i czynnościach sądów swych w taki sposób: »Bardzo dobrze, że się ludzie obawiają sądów. Życzę sobie, ażeby z tymi, którzy się udają do sądu, postępowano bez miłosierdzia. Niechaj się wszyscy dobrzy obywatele zgadzają pomiędzy sobą jak bracia, a w sprawach spornych niechaj każą rozstrzygać starcom i sołtysom. Kłótliwych, upornych i niepoprawnych niechaj wyroki urzędników zdruzgocą. To jest jedyne prawo, jakiem ich mogę obdarzyć.« Nie można się zatem dziwić, że mandaryni, odgrywający role sędziów, postępują sobie jak najokrutniej z tymi, którzy im wpadną w ręce. Tortury są tam na porządku dziennym i tych naturalnie każdy Chińczyk obawia się jak ognia.

Wszelkie drobniejsze sprawy sporne załatwiają głowy rodzin, którzy wyrok swój wydają według prastarych tradycyi i zwyczajów. Sąd chiński nie zna żadnych uczonych prawa, żadnych adwokatów, ani prokuratorów. Mandaryn miejscowości, obwodu, prowincyi jest jedynym sędzią. Od niego wszystko zależy. Śmierć i życie jedynie spoczywa w rękach cesarza chińskiego.

Czynności mandaryna są bardzo rozległe, i dla tego nie może on sobie nawet zadawać tyle trudu, ażeby sprawy rozstrząsać głębiej. U nas w Niemczech sądzą nieraz człowieka dwa dni i dłużej, gdy zajdzie coś nieprzewidzianego, odraczają obrady. Często adwokaci przewłóczą sprawy, zakładając w imieniu swych klientów reklamacye przeciw wyrokom. Tego wszystkiego nie znają w Chinach. Przedłożą mandarynowi sprawę, przesłuchają świadków, wydadzą wyrok i kara na miejscu następuje. W ten sposób załatwia się sprawa za sprawą, dopóki mandaryn posiedzenia nie zawiesi. Całe posiedzenie sądowe dzieje się publicznie, nieoledwie na ulicy. Gość zagraniczny ma prawie codziennie sposobność ujrzenia tych więzień lub ukarania przestępcy, posiedzenia sądowego lub torturowania. Im miasto liczniejsze, tem częściej się zdarzają podobne wypadki, które są dla oka Europejczyka niebardzo przyjemnymi. Jeden z podróżników opisuje tak pewien wypadek ukarania przestępcy: »W pobliżu rezydencyi generała Tartarów usłyszałem naraz głośne, monotonne uderzenia w gongi. (Jestto rodzaj bębenków ręcznych), poczem ujrzałem rodzaj procesyi, która z pewnością w żadnym innym kraju na świecie nie zachodzi. Za uderzającym w bębenek, który był chińskim policyantem, postępował jakiś człowiek, który miał ręce w tyle związane. Z krwawiących uszu zwieszały się sztabki, długie na 30 centymetrów, na których poprzylepiane były karteczki, zapisane jakiemiś znakami. Za nim postępowało dwóch żołnierzy z warty. Na moje zapytanie odpowiedział towarzyszący mi tłómacz, że to będzie złodziej. »Na papierku«, ciągnął dalej, »stoi jego nazwisko, wymienione są dalej zbrodnie jego i rodzaj kary, która go za to spotka. Czytam właśnie, że skazano go na pięćdziesiąt batów. Prawdopodobnie prowadzą go teraz przed mandaryna. Pragniesz Pan się przyjrzeć całej sprawie?«

Przyłączyliśmy się do tłumu ludzi, który za pochodem postępował. Wnet znaleźliśmy się na podwórzu sądu. Żołnierze wstrzymywali tłum przed wtargnięciem w podwórze, my zaś okupiliśmy sobie wejście kilku sztukami drobnej monety. Znaleźliśmy się wkrótce w podwórzu, obsadzonem z trzech stron więzieniami; przez bramę dostaliśmy się do drugiego podwórza więziennego, w głębi którego mieściła się sala sądowa, ku podwórzu otwarta. Tam złodzieja zawiedziono. Z boku przy stole siedział mandaryn. Na nosie miał wielkie okulary, które są oznaką dostojeństwa każdego mandaryna, a na głowie ozdobionej warkoczem, który każdy Chińczyk musi nosić, chiński kapelusz urzędowy z guzikiem i buńczukiem. Po obu stronach przy mniejszych stolikach siedzieli urzędnicy, którzy na skrawkach papieru malowali pędzlami rozmaite znaki piśmienne. W głębi sali stali pachołcy sądowi, trzymający w rękach laski w kształcie wiosła.

Przy wejściu zdjęto złodziejowi, który rzucił się przed mandarynem na kolana, uderzając czołem o ziemię, kajdany z rąk. Po kilku słowach mandaryna położyli go pachołcy na długą, nizką ławkę, obsunęli spodnie do kolan, poczem jeden z nich pochwycił winowajcę za głowę, drugi za nogi a trzeci na znak mandaryna zaczął go okładać cienką trzciną bambusową po górnej części gołej połowy nóg. Razy padały bardzo szybko, a dziwnie tajemniczy sposób liczenia ich, jęki winowajcy, pod każdym razem drgającego, wnet nas zmusiły do opuszczenia tego miejsca. Później dowiedziałem się, że za podobne wykroczenia każą nieraz sypać i do trzystu batów. Po największej części sto batów już wystarczy, ażeby z winowajcy zrobić wieczystego kalekę. Jak jednak nadmieniliśmy, każdy Chińczyk jest sprzedajny i dla tego zawczasu zbrodniarz lub który z jego krewnych lub przyjaciół zawrze korzystny układ z oprawcą. Ten łapówkę przyjmuje wspaniałomyślnie i winowajcę oszczędza w ten sposób, że albo połowę razów sypie gołej ławce, albo też »przerachuje się« o kilkadziesiąt razów lub więcej. Ażeby jednak sędziowie nie czuli, że oprawca znęca się więcej nad ławką, jak nad winowajcą, przeto ostatni stara się krzykiem zagłuszyć uderzenia trzciny w ławkę.

Zdarza się jednak, że nieraz z rozmaitych przyczyn nie da się przekupstwa przeprowadzić; w takim razie pomaga sobie winowajca w ten sposób, że kupuje sobie jakiego biedaka, który w jego miejsce odbiera wyznaczoną ilość batów. Takich biedaków liczą Chiny tysiące a może i miliony. Kto więc pragnie ujść batów, poszukuje sobie drugiego, wciska mu w rękę grosze, a ten z lekkiem sercem kładzie się na ławie i pozwala się młócić. Są to zwykle ludzie zawodowi, których proceder polega na odbieraniu batów. Ci mają już tak odbitą skórę, że albo wcale nic, albo mało co ich baty bolą. Prawo chińskie pozwala nawet więzić, wieszać i ścinać niewinne osoby, które pragną tę karę ponieść za drugich. A wypadki, że niewinny Chińczyk każe sobie głowę uciąć za winowajcę, nie są nawet tak bardzo rzadkiemi. Jeśli bowiem gdzie, to w Chinach biedy jest najwięcej i tysiące rodzin mrze co roku z głodu. Zrozpaczony ojciec rodziny, nie widząc więc innego wyjścia, poddaje głowę pod miecz katowski, jeśli czuje, że rodzinie swej zapewni znośny byt okupem. Można z tego opisu nabrać wyobrażenia, w jakim stopniu gardzi Chińczyk życiem. Zdarza się też bardzo rzadko, ażeby kobieta była kiedykolwiek karaną. Karę za nią odbiera zwykle mąż. (Dok. nast.)

IGNAŚ.

Opowiadanie z czasów wydalań rodzin polskich z granic Niemiec.

(Dokończenie).

Za sobą słyszał już ziajanie psa, czuł nieomal jego gorący oddech na swoich gołych łydkach. Brzeg był w tem miejscu stromy, woda, wezbrana jesiennymi deszczami, głębsza niż zwykle. Ignaś, oszołomiony strachem, bez namysłu rzucił się w rzekę. Woda zaburczała, wirem zatoczyła w tem miejscu swe kręgi; Ignaś zniknął, Kruczek zajadle naszczekując, latał tam i sam po brzegu.

— Ratujcie! — ozwał się naraz rozpaczliwy głos dziecięcy.

I o kilka kroków od miejsca, gdzie zniknął Ignaś, główka jasna o niebieskich oczkach wynurzyła się z wody. Woda znowu zaburczała, znowu wirem zatoczyła swe kręgi, widziadło znikło. I raz tylko jeszcze wynurzył się czubek jasnej główki dziecięcej z wody, raz posłyszeć się dał lekki pluskot jakby walczącego z wodą Ignasia, poczem nastąpiła uroczysta cisza. Rzeka, jakby nic nigdy się nie stało, spokojnie, obojętnie potoczyła dalej swe fale. Kruczek polatał jeszcze czas niejakiś po brzegu, węsząc i naszczekując, poczem powrócił do swego pana, merdając ogonem i patrząc mu w oczy, jakby za dobre spełnienie zadania oczekiwał od niego nagrody. Maciej, nic nie mówiąc, chwycił psa za kudły i trzęsąc nim niemiłosiernie, zaniósł do budy, uwiązał znów na łańcuchu i odchodząc, kopnął silnie nogą.

Oburzenie na postępek Macieja było w Kozienicach powszechne, ale nad Ignasiem nikt łzy nie uronił. Owszem, wyrokom Bożym poddano się z pewnem uczuciem ulżenia, pozbyto się tym sposobem »dziadaka«, na którego musiano płacić i z którym nie wiedziano, co począć. Jeden tylko pan wójt szczerze się zafrasował, z myśli nie mógł się pozbyć sceny na paliczyńskiej komorze, która jako wiecznie gotowy wyrzut sumienia znów mu żywo stanęła przed oczyma. W domu nie miał miru, na pytania żony mruczał tylko jak niedźwiedź nieusposobiouy do tańcowania, kiedy posłyszy bębenek. Ruchla szynkarka, jakkolwiek żydówka, ledwie się nie przeżegnała, widząc pana wójta wstępującego do karczmy. Pan wójt usiadł za stołem w kącie izby i kazał sobie dać półkwaterek miętówki. Ruchla podała mu na mosiężnej, szabasowej tacy. Pan wójt wypił duszkiem, oparł się na ręku i pogrążył w myślach. Do obecnych nie raczył przemówić ni słowa. Po niejakim czasie znów zażądał półkwaterek i po nim znów półkwaterek. Już mrok padał, gdy wychodził z karczmy. Pani wójtowa, cała w ogniach, czekała już na niego; przyjęła go stosowną do okoliczności perorą:

— A czy mnie Bóg pokarał — mówiła — mężem niedojdą, który się nie wstydzi z pijanem chłopstwem pospolitować się po karczmach? Pijane obdartusy, honorne mi towarzystwo dla pana wójta z Kozienic!

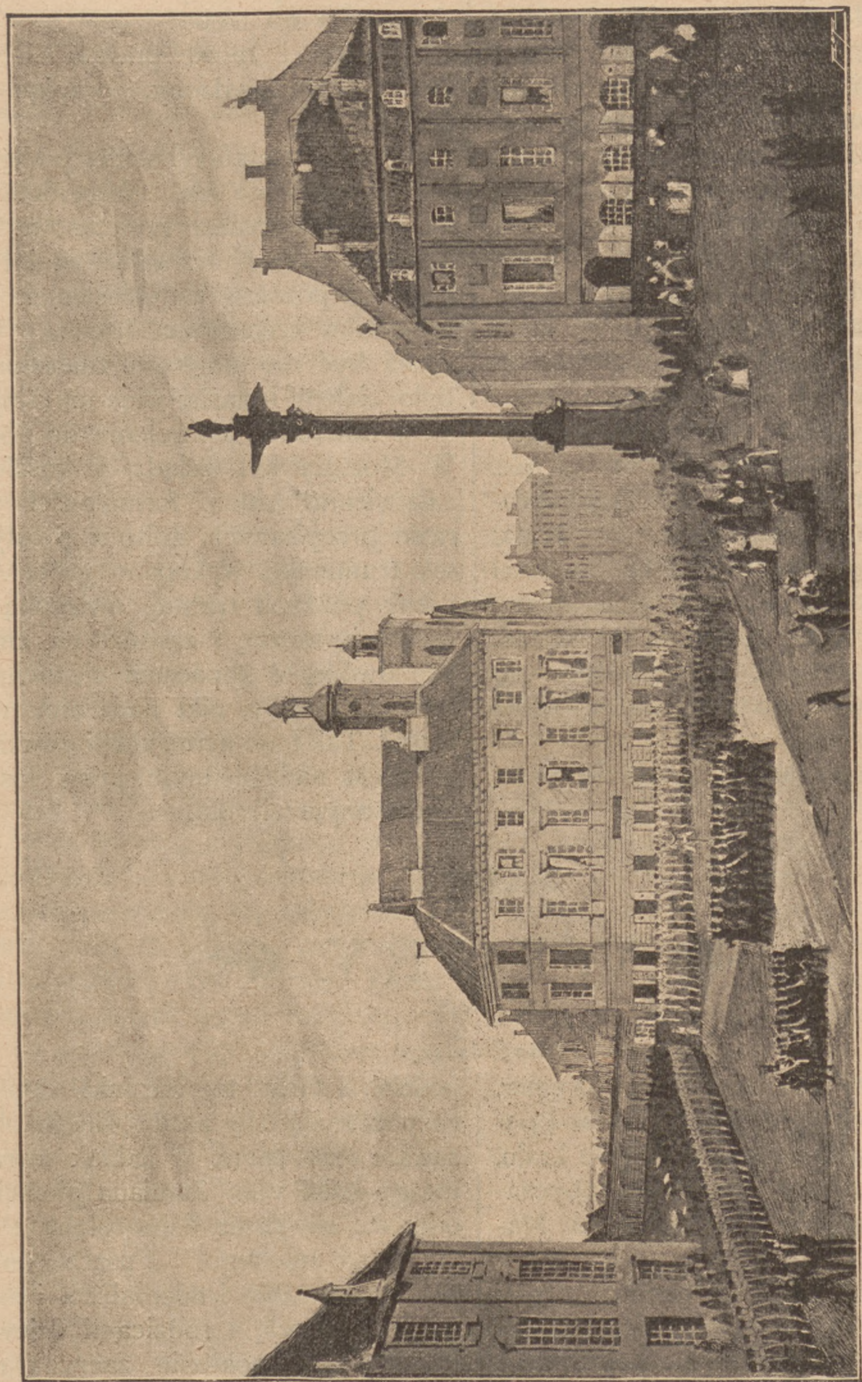
— Abo mi to nie wolno abo co? — odrzekł pan wójt, podparłszy się w oba boki i patrząc wyzywająco na swoję połowicę.

Pani wójtowa się zastanowiła. I ton i pozytura męża były jej czemś zupełnie nowem. Ale że była kobieta mądra, uznała za najwłaściwsze »wstecz się skoncentrować«. Ale ten manewr miał ten sam skutek, jaki podobne manewra miewają w wojnie: pan wójt nabrał odwagi i wytrząsając pani wójtowej pod nosem, wołał w największem rozjątrzeniu:

— Ja ci powiadam, że ja tu pan! a tobie babo mores do moich spraw! garnków sobie babo pilnować, a nie wścibiać nosa, gdzie ci nie potrzeba! ja tu pan, rozumiesz! a mnie twoich nauk nie potrzeba!

Szczęściem wójtowa nic nie odpowiedziała i tym sposobem na »ja tu pan!« skończyła się ta wojna domowa. Było to z jej strony bardzo mądrze, gdyż

pan wójt był dnia tego rzeczywiście w bardzo wojowniczem usposobieniu i ręczyć nie można, czyby w innym razie nie był się chwycił więcej przekonywających argumentów. Pan wójt o śmierci Ignasia zdał szczegółowy raport do powiatu, w kilka dni później sędzia śledczy w towarzystwie naczelnika straży ziemskiej i kilku strażników zjechał na miejsce, celem szczegółowego zbadania sprawy, Maciej został przyaresztowany i odstawiony do powiatu.



Przegląd wojsk polskich w roku 1816 w Warszawie.

Tego samego dnia, kiedy sędzia śledczy wywodził sprawę w Kozienicach, w Mortęży, wiosce o mil trzy w dół rzeki, dwaj rybacy, Szymon i Andrzej brat jego, wyszli łowić ryby. Dzień był dla nich niepomyślny. Już niemal szarzeć zaczynało, a dopiero ledwie kilka marnych płocic mieli w beczce, zdesperowani chcieli już z próżnemi rękoma wracać do domu, gdy się zdecydowali po raz ostatni sieć zarzucić. Coś ciężkiego uplątało się w sieci. Jadą więc do brzegu i wyciągają na ląd ciało chłopczyka lat może sześciu o jasnej główce i modrych oczkach, odęte i w szlamie uwalane, ubrane w liche łachmany. Rączki jego były kurczowo zaciśnięte, w twarzy jego i szeroko otwartych oczkach leżał wyraz przestrachu. Z przerażeniem odskakują od niego... Pierwszy zbiera swe myśli Andrzej i skrobiąc się w głowę, tak mówi do brata:

— Oj, będziewa mieli z meldunkami i protokółami harmidru co nie miara. Wiesz co bracie? Ułóżma go nazad, gdzieśmy go znaleźli, pozbędziemy się kłopotu. Znalezą go inni, dadzą sobie prędzej radę.

Szymon zadrgnął cały, aż się przeżegnał:

— W imię Ojca i Syna! Czy ci sam zły — tu się znowu przeżegnał, — poddał myśl grzeszną? Abo to poganin, abo pies? Dziecko, widzisz, niewinne, chrześciańska dusza. Więc każdemu, co się należy: ciało do ziemi, a duszyczka do nieba!

— Bo i może prawda — odrzekł Andrzej zawstydzony, drapiąc się w głowę.

Podjęli statki rybackie, podjęli Ignasia i ponieśli do wsi. W stodole sołtysa na klepisku znalazł tymczasowe pomieszczenie. Nazajutrz sołtys wysłał umyślnego do powiatu z doniesieniem o znalezieniu w rzece trupa dziecka. Wątpliwości być nie mogło, że znalezione ciało było ciałem Ignasia, więc umyślny przyniósł odwrotne pozwolenie do pogrzebu. W Mortęży był ksiądz i kościół. Po załatwieniu zatem formalności w tym razie przepisanych, zbito z prostych desek trumienkę, wykopano grób, Andrzej rybak pokropił trumnę święconą wodą, wziął na taczkę i zawiózł na cmentarz. We dwójkę z kopaczem cichuchno spuścili do mogiły, nikt nad nim nie zapłakał. Tak łono matki ziemi zamknęło się na wieki nad biednym przez los prześladowanym sierotą.

WĘGRY.

(Ciąg dalszy.)

Skreśliwszy pokrótce dzieje Węgier, charakter ogólny Madziarów i położenie ludności wiejskiej tego kraju, przytoczymy teraz kilka rysów obyczajowych, mogących dać bliższe o Madziarach wyobrażenie.

Madziar niezwykł się żenić wcześnie; przez trzy lub cztery lata zwykle zaleca się dziewczynie, zanim ją poprowadzi do ołtarza. Gdy młodzian zapracuje sobie na kosztowny płaszcz, bogato szamerowany sznurkami, wtedy dopiero zamyśla o małżeńskich związkach. Dziewczyna ze swej strony powinna mieć kaftan, tak zwany rekli, oraz porządną pościel. Gdy te warunki dopełnione, rozpoczynają się wtedy długie obrzędy, zawsze też same, a jednak zwracające uwagę całej wsi. Zamiana pierścionków odbywa się przez dziewosłęba z ramienia pana młodego. Puszcza on się w drogę, poważnie i tajemniczo, i najprzód odbywa naradę z rodzicami dziewczyny. Po zwykłym pokłonie zaczyna rozprawiać o świętości małżeństwa, zagłębia się w różne dowodzenia, z których czasem nie wie sam jak wybrnąć, aż wreszcie przystępuje do rzeczy, prosząc o rękę dziewczęcia. Na takiego dziewosłęba wybierają zwykle człowieka z najtęższą

głową, ale i z wypróbowaną uczciwością; spełnia on najchętniej posłannictwo swoje, któremu nadaje szczególne znaczenie we wsi, i zapewnia pierwsze miejsce przy uczcie weselnej. Zanim odejdzie ten dziewosłęb, powtarza uroczyście pewien rodzaj poetycznej oracyi, odwieczny zabytek przeszłych czasów:

„Slyszeliśmy, że macie na sprzedaż dziewoje,
I przychodzim w te progi zabrać ją jak swoje.“

Poczem wymienia imię i wylicza zalety narzeczonego, który oczekuje niecierpliwie u drzwi na odpowiedź.

Wtedy nawet kiedy ofiara jest przyjętą, ojciec ukrywa wewnętrzne swe zadowolenie, marszczy brwi, powtarza uroczyście kilka słów o ważności stanu małżeńskiego i prosi o trzy dni zwłoki, niby to do namysłu. Nadchodzi wreszcie stanowcza chwila (ojciec bowiem żądał tylko zwłoki, aby nie uchybić zwyczajom); wtedy w obec zebranej rodziny, w obec narzeczonego i dziewosłęba przybierając uroczystą postawę, gładząc wąsy, mówi z głębokiem westchnieniem: »Skoro Bóg potwierdza te związki, kiedy moje dziecko doszło do lat i kiedy szanowne osoby przybywszy do domu tego po narzeczoną, znalazły ją tu, i ja też bez wahania oddaję córkę moję w małżeństwo temu a temu, i daję im obojgu moje rodzicielskie błogosławieństwo.« Wówczas rozpoczynają się przygotowania i ceremonie, to smutne, to radosne, a powtarzane zawsze bez zmiany. Panna młoda zalana łzami żegna rodzinę, od dziadka aż do niemowlęcia; podaje rękę panu młodemu, który czeka u drzwi w gronie krewnych i idzie z nim do nowej chaty, gdzie teść i świekra przyjmują nowożeńców. Obiad zakończa tę przedwstępną uroczystość, poczem następuje wesele.

W niektórych okolicach w wigilią ślubu, narzeczony przyjeżdża z dziewosłębem po posag, składający się zwykle z malowanej skrzynki, z zapasu odzieży i pościeli. Cała wieś patrzy ciekawie na ten pochód jakby tryumfalnego wozu; młode dziewczęta zawistnem nieraz okiem obliczają na nim skarby, a pan młody ze swatem siedząc na koźle, palą z bicza; za nimi liczna drużyna w świątecznym stroju pospiesza na wózkach. Wyjeżdżając ze wsi, rozpędzają konie, śpiewają i wykrzykują, słowem ogarnia ich weselny szał. Ale są to dopiero początki wesela. Nazajutrz o dziesiątej, drużbowie przychodzą w licznym orszaku; w pośród okrzyków radości zabierają dzieweczkę z rodzicielskiego domu i prowadzą państwa młodych do kościoła. Po ślubnem błogosławieństwie, młoda małżonka z oczyma spuszczonemi, jakby chciała uniknąć natrętnego wzroku ciekawych, idzie do chaty pana młodego, otoczona liczną drużyną krewnych i przyjaciół. Trudno opisać wrzawę tego tłumu: towarzyszą bowiem okrzykom wystrzały z fuzyi i pistoletów. Przed chatą zazwyczaj zamkniętą, nowy następuje obrzęd. Rzucają we drzwi kamieniami, oznajmując zawarte śluby i zapowiadając wojenne niby wkroczenie w progi domu. Przyszły naczelnik rodziny, przedstawia się jako pan w posiadłości swojej, gdzie uczta czeka przygotowana. Starzy rodzice wszystko już bowiem przewidzieli. W głównej izbie, która zaledwie może objąć zebranych, stoi w pośrodku wielki stół, pokryty białem płótnem i zastawiony rozmaitem jadłem w wielkich kwiecistych misach. Przy tym stole mieści się do stu osób. W obec radości powszechnej nikt nie żąda wygody; wszyscy potrącają się łokciami, lecz się na to nie zważa. Państwo młodzi zasiadają na pierwszem miejscu, obok najstarszych krewnych, reszta sadowi się gdzie kto może. Przystępują nakoniec do jedzenia; wtedy ukazuje się dziewosłęb z misą pełną dymiącego krupniku: kłania się wokoło obecnym i wyrzekłszy kilka wierszy stosownych do okoliczności, stawia misę na stole. Po zupie następuje kapusta ze słoniną, jagły, pieczony drób, a szklanice wina krążą bezustanku. W końcu zaczynają się pieśni, niekiedy improwizowane, to jest odrazu i naumyślnie ułożone, bez których nie byłoby uczty dla madziara.

Wieczorem następują tańce. W mgnieniu oka wynoszą stół i ławy, a muzyka cygańska przybywa. Siedząc na prze-

wróconej beczce, cygani wygrywają na skrzypkach, flecie, basetli i cymbałkach miejscowe melodye, a młodzież tańcuje na zabój. Jedni drugich potrącają i depczą; pot gęstemi kroplami ścieka wszystkim z czoła; mimo to młodzież tańcuje w kapeluszach. Trudnoby im przyszło rozłączać się z tym strojem ozdobionym w pióra i kwiaty. Taniec węgierski rozpoczyna się zwolna, z niejaką powagą i godnością, a kończy się z szalonym pospiechem. Zrazu młodzież bije w podkówki, potem tancerz obejmuje tancerkę, wiruje z nią, a w miarę jak muzyka przyspiesza taktu i taniec nabiera dziwnej mocy. Niekiedy dziewczyna wysunie się z rąk tancerza, a on goni ją i pochwyca przy głośnych okrzykach, klaskaniu rąk, brzęku ostróg i podkówek. Wtedy wesołość dochodzi aż do szału. Wieśniak węgierski lubi szczególniej muzykę cygańską, bez której żadne wesele się nie obejdzie.

Wszystko jednak skończyć się musi; uderza wreszcie północ: na to hasło odpowiadają dziewczęta okrzykiem zdziwienia i żalu. Dziewosłęb bierze w rękę dwie świece, powtarza proroczym głosem jakieś poważne słowa, żegna gości i prowadzi państwa młodych do komory. Nazajutrz znów drużyna przybywa do weselnego domu, zapytuje o zdrowie panny młodej i przynosi jej różne upominki, jak gołębie, kury i łakotki różnego rodzaju.

Obrzędy te zmieniają się stósownie do miejsca; w każdej okolicy inne mają cechy; w tem jednak zachodzi wspólność między niemi, że wszędzie rozpoczynają się z powagą, a kończą z wesołością dochodzącą do szału.

Narodzenie dziecka, śmierć krewnego, słowem każdy ważny w życiu wypadek, daje powód do uroczystego obrzędu. Lud ten bowiem chętnie dzieli z sobą tak radość jak i niedolę. Po chrzcie rodzice, krewni i przyjaciele wezwani są na ucztę przeplataną pieśniami. Gdy rodzina straci jednego z członków swoich, przez całą noc następną brzmią pobożne hymny nad głową niebożczyka.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

OBJAŚNIENIA RYCIN.

W przedsionku sądu. Na rycinie (strona 69) widzimy gromadę włościan, jednych siedzących na ławce przed izbą sądową, do której ich za chwilę powołają, drugich stojących. Wszyscy żywo ze sobą rozprawiają; w każdym razie rozbierają oni sobie nawzajem sprawy, o które ich na sąd powołano. Ów w kącie siedzi milczący, zapatrzony w ziemię. W ożywionej rozmowie udziału nie bierze. Zdaje się w ogóle nie wiedzieć, co się naokół niego dzieje. Łokciem wsparł się o kolano, twarz trzyma w dłoni, widocznie wysila mózg nad jakąś sprawą, którą z drugimi podzielić się nie chce.

Dumania wygnańca. Widzimy na rycinie starca z poważnym wyrazem twarzy, istny typ patryarchy, siedzącego nad morzem, i wpatrującego się w toń morską. Wygnaniec to polski, który od dawnych lat przebywa na wyspie Sachalin. Nad nim szybuje mnóstwo ptactwa wodnego. Codziennie siaduje tu starzec, codziennie zadumanem okiem wpatruje się w głęboką toń morską. Myśli jego biegają jednak daleko… bardzo daleko… Duchem on w krainie swojej, gdzie ujrzał świat dzienny, gdzie wesoło spędził młodość, gdzie dusza jego gorąca, oburzająca się na bezprawia, zadawane przez okrutnego ciemiężyciela rwała się do walki, do wyswobodzenia tej ziemi jego rodzinnej z pod obcego panowania. I oto nagroda za te trudy, poniesione dla ojczyzny. Zdala od niej, od tej, którą tak gorąco ukochał, zmuszony jest życie pędzić a może i kości złożyć na wieczny spoczynek. Patrzy na ptactwo a z piersi wydobywa się westchnienie: Gdyby ptakiem być! O! jak chętnie po przez te zimne kraje, które go oddalają od ziemi jego, od Polski, przefrunąłby, jak chętnie poniósłby w drodze i śmierć, gdyby do tego przyjść miało, byle w tem przeświadczeniu, że odda tem ostatnią przysługę… ziemi swej, żywicielce swej, tej, która zroszona krwią tysięcy wiernych swych synów, przytula ich po macierzyńsku do siebie, a boleje za tymi, którzy zdala od niej zmuszeni są żyć i umierać i nie zapomina o nich. O! bo ziemia rodzinna, to ta matka najdroższa, o której się nigdy nie zapomina i o której starzec, zdala od niej żyjący, z wzruszeniem wspomina nawet wtedy, gdy już jedną nogą wstępuje do grobu, by zdala od niej kości położyć do wiecznego spoczynku.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor odp.: Adam Napieralski w Bytomiu.

Muzykalność owadów.

Orfeusz z bajecznych czasów greckich oczarowywał muzyką najjadowitsze gadziny; argonauci potęgą śpiewu uśpili smoka, pilnującego złotego runa. Pliniusz i Seneka opowiadają, że w uroku muzyki leży siła, jaką czarodzieje mają nad wężami; indyanie amerykańscy umiejący dobrze gwizdać, zbliżają się bez obawy do ignana i chwytają olbrzymią jaszczurkę, której mięso jest dla nich przysmakiem. Jaszczurka z taką uwagą słucha melodyi, że zapomina o własnem bezpieczeństwie; dowód, że może być niekiedy śmiertelną. Pan Zabej na Martynice wyszedł na polowanie, na jaszczurki, z negrem mającym długą żerdź z wolnym węzłem na końcu. Wkrótce zobaczyli jaszczurkę na gałęzi, wygrzewającą się na słońcu. Murzyn zaczął gwizdać, a gad wyciągnął głowę w stronę z której dochodziło go gwizdanie; murzyn zbliżył się do jaszczurki powoli i zaczął ją łaskotać po bokach i gardle końcem żerdzi. Jaszczurka zaczęła się tak żywo obracać, że można ją już było wziąć na węzeł.

Pewien uczony współczesny opowiada, że przez długi czas miał w domu prawie oswojoną jaszczurkę zieloną. „U wszystkich jaszczurkowatych, mówił, słuch jest nadzwyczaj rozwinięty; z odległości kilku metrów słyszą szelest liścia poruszonego wiatrem, lub brzęk muchy. Delikatne ich ucho, jakkolwiek nie posiada przyrządu wzmacniającego dźwięki, zdaje się posiadać zdolność ich rozróżniania. Ilekroć wziąłem z sobą jaszczurkę do pokoju, w którym grano na jakim instrumencie, wysuwała żywo główkę z poza mego rękawa. Położona na ziemi, dążyła w kierunku muzyki. Flet sprawiał jej największą przyjemność. Cymbały, brzękadła chińskie wstrząsały ją, obojętną jednak była na wielki bęben."

Faktem jest, że kiedy jaszczurki uciekają, dosyć zagwizdać by zatrzymały się i mimo niepogody słuchały z widocznem upodobaniem. Niemniej czułemi na urok muzyki są węże; kiedy okularnik słyszy flet, prostuje się, wybija miarę, a głowa jego okrągła i długa, rozszerza się i płaszczy jak wachlarz. Uszy wężów pomieszczone są pod skórą; z tej budowy możnaby wnosić, że słuch mają trochę tępy; pomimo to gad ten zdradza w wielu razach poczucie muzyczne.

Widziałem, opowiada Jan Franklin, jak dzieci dręczyły węża zupełnie nieszkodliwego. Ulitowałem się gadziny, wybawiłem ją z rąk małych dręczycieli i zabrałem z sobą do domu. Tu pomieściłem węża w koszyku zawieszonym przy suficie. Pewnego wieczoru wziąłem skrzypce i przechadzając się po pokoju, grałem dla swojej przyjemności; jakżem się zdziwił, kiedy zobaczyłem węża, uczepionego ogonem do koszyka, wyginającego głowę i ciało w kierunku moich kroków. Wydobyłem go, okręciłem koło szyi i zacząłem grać dalej. Wąż zachowywał się nieruchomo, jak gdyby pogrążony był w zachwycie.

Okularnik, jeden z najstraszniejszych wężów żyjących w Indyach, daje się oswajać tak zwanym **snokembom** i przyuczać do pewnego rodzaju tańca przy odgłosie fletu. Jeżeli słyszy nosowy dźwięk piszczałki wychodzi z ukrycia, biegnie do muzyka i przyjmuje pokarm z jego ręki. Lekarz Shaw widział węże zachowujące miarę z derwiszami w ich korowodach: węże wbiegały na głowę i ręce derwiszów, obracały się wraz z nimi i zatrzymywały.

To samo zamiłowanie muzyki zauważono na jadowitym wężu zwanym **kobra**. Kuglarze w Indyach oswajają go, przyuczają do wybijania miary i towarzyszenia ruchami głowy grze na flażolecie (rodzaj dobrego fletu). Wąż oczarowany wykonywa ruchy zgodne z smutnym lub wesołym nastrojem muzyki.

W czasie pobytu mego w Indyach, opowiada Franklin, w ogrodzie moim złapano kobrę z kapturkiem. Oswajacz wężów, w turbanie z piór na głowie, siedział koło otworu pod płotem i grał na instrumencie zrobionym z tykwy. W ręku miał kawałek stłuczonego zwierciadła. Niebawem kobra wysunęła łeb, zdawała się wsłuchiwać w dziki głos wychodzący z tykwy a jednocześnie oczy jej spoczęły na migocącem zwierciedle; stojący przy nim towarzysz pochwycił węża z tyłu za szyję i nie wyrwawszy mu nawet zębów jadowitych, rzucił pod pokrywkę koszyka.

Nazajutrz oswajacz powrócił, postawił koszyk na ziemi, położył się obok i zaczął grać na tykwie, pokrywka podniosła się i wąż, na pół zwinięty na sobie, pokazał się; w ciągu gry poruszał głową jak dyletanci na operze włoskiej. Od czasu do czasu rozwijał kapturek i syczał ilekroć indyanin zbliżał rękę. Stojący za muzykiem towarzysz szybkim ruchem pochwycił kobrę za ogon; w tem położeniu wąż nie mógł mu nic zrobić; ale kiedy mu kurę rzucono, pożarł ją w okamgnieniu.

Nie jadąc do Indyi można i w Kairze widzieć sztuki z wężami. Kuglarze egipscy przyuczają węże do pewnego rodzaju tańca przy flecie i piszczałce. Powiadają, że za pomocą pewnych dotykań mogą wprawić niebezpieczną gadzinę w letarg, w którym sztywnieje zupełnie.

Nawet najstraszniejszy z wszystkich grzechotnik, daje się opanować muzyką. W roku 1796, mówi Chateaubriand, podróżowaliśmy po Wyższej Kanadzie w towarzystwie kilku krajowców. Kiedyśmy pewnego dnia wypoczywali na równinie, nad brzegiem rzeki, do namiotu naszego dostał się grzechotnik. Jeden z kanadyjczyków grał na flecie; chcąc nas rozerwać, zbliżył się do węża z tą bronią nowego rodzaju. Za zbliżeniem się nieprzyjaciela, wąż zwinął się spiralnie, spłaszczył głowę, nadął policzki, ściągnął wargi, odsłonił zęby jadowite i zakrwawioną paszczę; podwójny jego język wił się jak dwa płomienie, oczy płonęły jak węgle, a całe ciało wzdęte gniewnie opadało, to podnosiło się jak miech kowalski. Ogon gadziny, z którego rozchodził się szelest złowrogi, oscylował z taką prędkością, że podobny był do lekkiej pary.

Wówczas kanadyjczyk grać zaczął na flecie; wąż robi ruch zdziwienia i cofa głowę ku tyłowi; powoli magiczny czar muzyki go ogarnia, oczy tracą swą srogość, wibracye ogona wolnieją, szelest jaki wydawał cichnie i ustaje zupełnie. Ciało podniesione spiralnie obniża się i opada całkowicie na ziemię współśrodkowymi pierścieniami. Tęczowe barwy skóry występują wyraźniej i gad nieruchomy zdaje się przysłuchiwać z rozkoszą.

W tej chwili muzyk robi kilka kroków wydobywając z fletu dźwięki słodkie i monotonne; grzechotnik opuszcza szyję i czołga się za śladem człowieka, przystając gdy ten przystaje, idąc dalej gdy się ruszy.

Tak wyprowadził go daleko poza obóz, pośród tłumu widzów, zdumionych tym cudownym wpływem melodyi na jadowitą gadzinę.

Spryt stróża nocnego.



Zuchwały złodziej o nocnej porze
Pragnie wizytę złożyć we dworze.
Wchodzi do wnętrza, pewien jest swego
Lecz stołek nieszczęsny to zdrajca jego.



Nocne pan Duda odbywa straże.
Bo tak obowiązek czynić mu każe.
Nagle — o zgrozo — przy świetle księżyca
Spostrzega stołek — dziwna tajemnica.

Praktyczne rady.

— **Chleb mięsny.** Niejaki Schaner przedstawił Akademii paryskiej wynaleziony przez siebie chleb, w którego skład wchodzi przeważnie mięso, niepleśniejący pomimo to przez całe lata. Własność tę zawdzięcza chleb szczególniejszemu sposobowi zakwaszania ciasta. Ciasto, według przepisu podanego przez „Journal d'Agriculture", przygotowuje się następującym sposobem: robi się mięszaninę z 575 gramów mąki, 50 gr. kwaśnego ciasta i 500 gr. drobno posiekanego świeżego mięsa, poczem dolewa się wody tyle, by ciasto nie było nazbyt gęste. Po wyrośnięciu ciasta przez 2 lub 3 godziny w umiarkowanem cieple, piecze się je jak chleb zwyczajny. Mięso przed posiekaniem powinno się gotować przynajmniej godzinę. Liczne próby okazały, iż nie należy brać mięsa w stosunku większym od podanego przez nas. Chleb kraje się w kawałki i gotuje przez kwadrans, a otrzymana ztąd zupa posilna jest i smaczna. Wszystkie gatunki mięsa dają się użyć na wypiek chleba.

— **Na bezsenność.** Macza się połowę ręcznika w świeżej zimnej wodzie, owija się naokół szyi tak, ażeby połowa tylnej części głowy była nakrytą i na mokrą połowę przykłada się suchą, ażeby wilgoć za szybko się nie ulotniła. Chłód odświeża mózg i sprowadza zdrowszy sen jak wszelkie środki odurzające, które na dobitkę działają szkodliwie na istotę człowieka. Jeśli niedomagania brzuszne przyczyniają się do bezsenności, w takim razie należy ręcznikiem, wyżdżętym z wody, okryć brzuch. Na ten ręcznik należy następnie położyć ręcznik drugi suchy.

Rozmaitości.

* **Topofon.** Pewien amerykanin wynalazł bardzo praktyczny przyrządzik, za pomocą którego można oznaczyć kierunek dolatujących nas dźwięków. Fale dźwiękowe rysują drgania swoje na krążku, połączonym z kompasem, tak, iż z narysowanej na krążku drogi fal dźwiękowych, daje się na kompasie oznaczyć ściśle sam kierunek dźwięku, n. p. kierunek sygnałowych wystrzałów ze statku podczas burzy. Wynalazek ten oddać może nieocenione usługi żegludze chroniąc statki od niebezpiecznych zetknięć ze sobą na morzu.

* **Jad żmii jako antydot.** Doktor Karol Helmes odkrył nowy środek przeciwko ukąszeniu gadów jadowitych. Środek jego polega na przyjęciu jadu wewnątrz. Podczas doświadczeń robionych na posiedzeniu towarzy-



Szczęśliwy pomysł wpadł Dudzie do głowy.
Miejsce stołka on zająć gotowy.
Chwyta więc stołek, na bok go odpiera,
A sam zaś postać jego przybiera.



Udał się Dudzie figiel nielada.
Opryszek szczęśliwie w ręce mu wpada,
Biedak nie czuje że to stołek żywy.
Myśli on w duszy, że to jakieś dziwy.

stwa lekarzów wiedeńskich, Helmes dał się trzykroć ukąsić w rękę grzechotnikowi, poczem, obwiązawszy silnie zranioną rękę, zażył w spirytusie winnym słabą dozę jadu żmijowego. Zażycie jadu nie pociągnęło za sobą żadnych złych skutków, prócz nieznacznego spuchnięcia ręki i silnej oparzelizny trwającej uporczywie przez dwa tygodnie.

* **Cukier z gałganów.** Jedna z fabryk niemieckich wyrabia codziennie do 500 kilogramów glukozy ze starych strzępów płóciennych. Strzępy te, składające się z włókien komórkowatych, prawie czystych, poddają się myciu, następnie działaniu kwasu siarczanego (witryolej), zamieniającego je w dekstrynę (gumę).

Tak otrzymana dekstryna przemywa się w mleku wapiennem (wapno rozczynione w wodzie) i poddaje silniejszemu niż poprzednio działaniu kwasu siarczanego — skutkiem czego preparowana tak masa zamienia się w glukozę, t. j. materyą chemiczną, podobną do tej, jaka stanowi zasadę cukru winogronowego, miodu i dojrzałych owoców.

Glukoza ta mogłaby posłużyć do bardzo ekonomicznej fabrykacyi konfitur i galaret.

Zdaje się więc, iż dojdziemy niebawem do idealnych konfitur bez owoców, wyrabianych z cukru ze starych koszul.

* **Pozorna śmierć i sztuczne oddychanie.** Doktor Fort utrzymuje, iż częstokroć chowamy osoby znajdujące się w stanie śmierci pozornej po zniknięciu pierwszych objawów życia. W tym celu przytacza rezultaty swych osobistych doświadczeń. Są one w rzeczy samej godne zastanowienia. Trzyletnie dziecko zostało pogrzebane, a w trzy godziny i pół po sprawdzeniu śmierci, która była tylko pozorną, doktor Fort użył oddychania sztucznego; po czterogodzinnem doświadczeniu, dziecię nagrodziło cierpliwość lekarza powracając do życia. Inny lekarz, doktor Fournel, zdołał przywrócić do życia topielca również po czterogodzinnem użyciu sztucznego oddychania. Człowiek ów przebywał przez 10 minut pod wodą. Oddychanie sztuczne zastósowane być może nie tylko w razach uduszenia, ale nawet w wypadkach zatrucia, w ten sposób bowiem można usunąć z płuc pierwiastki lotne trucizny. Łatwy sposób zastósowania oddychania sztucznego na osobach uduszonych, topielcach, powinien znanym być ludziom znajdującym się na stacyach ratunkowych, członkom policyjnym i właścicielom zakładów kąpielowych.



Duda opryszka chwyta za nogi
Z tryumfem wiedzie we warty progi.
Duda za pomysł został nagrodzony
Medalem od władzy został odznaczony.

ŻARTY.

Amerykański humor.

W mieście Missuri przybył pewien bogaty farmer z swą piękną córką na modlitwę. Nagle przerywa modlitwę słowami:

— Pragnąłbym chętnie być pobożnym i przyjść do nieba, ale jeśli owi nicponie nie przestaną zasyłać mojej córce zalotnych uśmiechów, to z pewnością przyjdzie do garbowania skóry, zanim modlitwę dokończymy.

Pewien fotograf w Texas powiedział do podróżnego, który mu zachwalał wynalazek na polu fotografii:

— Ja go nie potrzebuję. I bez niego potrafię zmusić mych odbiorców, ażeby się nie ruszyli podczas fotografowania. Skoro tylko mający być fotografowany zajmie miejsce, mówię do niego: „Mój Panie, płyta kosztuje pieniądze, mój czas także; tak płyta jak czas będzie daremnemi, gdybyś się Pan ruszył.“ Wyciągam następnie pistolet, zwracam otwór lufy w niego i powiadam: „Jedyne jedno poruszenie a natychmiast Pana zastrzelę.“ To pomaga nadzwyczaj. Moje obrazki są też najlepsze w całym kraju.

Pewien dziennikarz wyraził się tak o dziennikarstwie: „Dziennik w potocznem życiu zajmuje to same stanowisko, co teściowa. Wszyscy ją się boją, ale żaden jej nie kocha. Dopóki wszystkim schlebia, szanują ją, gdy jednak poczniesz ganić, wszystkie stronnictwa łączą się w wzajemnem życzeniu: „Kaduk niech porwie teściową.“

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu.

Wydawnictwo „Katolika“

w Bytomiu (Beuthen O.-S.)

poleca

Zarys dziejów Polski Porozbiorowej. Cena 1,25 m., z przesyłką 1,35 mk.

Wojsko polskie z 1831 r. z obrazkami. Cena 2 mk., z przesyłką 2,10 mk.

Podręcznik geografii ojczystej. Cena 1,25 mk., z przesyłką 1,35 mk.

Nabożeństwo do św. Antoniego Padewskiego napisał ks. Euzebiusz Stephan, prob. w Tworogu. Za pozwoleniem książęco-biskupiego wikaryatu jeneral. Cena 35 fen., z przesyłką 38 f.

Prawo zabezpieczające robotników na słabość i starość z dnia 22-go Czerwca 1879, które 1-go Stycznia 1891 wyszło w życie. Cena 40 fen., z przes. 45 fen.

Żywot św. Stanisława Kostki (z obrazkiem) 10 fen., z przes. 13 fen.

Żywoty ś. Jadwigi, bł. Kunegundy, Jolenty, Salomei, (z obrazkiem) 10 fen., z przes. 13 fen.

Modlitwa do św. Józefa (po polsku i po niemiecku), 2 fen., z przesyłką 5 fen. (100 egzempl. 1,70 mk. franko).

Cudowne przeniesienie Domku N. M. Panny z Nazaretu do Loretu, 5 fen., z przes. 8 fen. (100 egz. 4,50 m. franko.)

Wykaz przyjęcia do bractwa trzeźwości 10 fen., z przes. 13 fen. (100 egz. 4,50 m. fr.)

Pieśni kalwaryjskie, 5 fen., z przes. 8 fen. (100 egz. 4,50 m. franko.)

Rachunek sumienia czyli Przygotowanie do pierwszej spowiedzi świętej 5 fen., z przesyłką 8 fen. (100 egzempl. 4,50 m. franko.)

Litania do Przenajśw. Serca P. Jezusa 5 fen., z przes. 8 fen. (100 egz. 4,50 m. franko.)

Modlitwa przez Stolicę Apostolską nakazana, 2 fen., z przes. 5 fen. (100 egzempl. 1,70 m. franko).

Pieniądze trzeba nadsyłać naprzód. Zamawiać można pod adresem: **Wydawnictwo „Katolika“ w Bytomiu (Beuthen O.-S.)**

Wydawnictwo „Katolika“ w Bytomiu

poleca co dopiero wydaną, bardzo piękną książkę pod tytułem:

Z niwy ślązkiej.

Wiersze Czesława Lubińskiego

2 tomy po 160 str. w jednej książce.

Cena za egz. nieoprawny . . . . 1,00 m.
„ „ „ oprawny . . . . . 1,50 „
„ „ „ eleg. oprawny w płótno 1,80 „

Na portoryum prosimy dołączyć 20 fen.

Każdy Polak na Szląsku powinien tę książkę posiadać!

Za nadesłaniem należytości w znaczkach pocztowych przesyła odwrotnie

Wydawnictwo „Katolika“
w Bytomiu (Beuthen O.-S.)

DZIEJE POLSKI

OD POCZĄTKU DO NAJNOWSZYCH CZASÓW.

Według najlepszych źródeł opracował **Maryan z nad Dniepru.**

Całość obejmuje mniej więcej 300 stronnic druku w 8-ce z 80-ciu pięknemi obrazkami ważniejszych wypadków dziejowych, wizerunkami królów i sławnych mężów polskich.

Cenę pomimo starannego wydania, aby nabycie dziełka w trudnych dziś stósunkach każdemu umożliwić, ustanowiono na

1 markę 60 fenygów.

Upraszamy o łaskawe zamówienia i jesteśmy przekonani, że wydatku tego nikt nie pożałuje. Zamówienia prosimy nadsyłać pod adresem:

WYDAWNICTWO „KATOLIKA“,
Bytom, ulica Piekarska nr. 29.

Nakładem Wydawnictwa „Katolika“

wyszły i są do nabycia:

Pieśni Polskie

używane

na Górnym Szląsku.

Zebrał **J. Gallus.**

Cena zeszytu 20 fen.

Dziesięć zeszytów oprawnych w jednę książkę za 1 mk. 50 fen., z przesyłką 1 mk. 70 fen. — Pięć zeszytów oprawnych w jednę książkę za 1 mk. z przesyłką franko. — Należytość przesyłać należy w liście naprzód w znaczkach pocztowych. — Zamawiać można pod adresem:

Wydawnictwo „Katolika“
w Bytomiu (Beuthen O.-S.)